ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 29. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 25 sierpnia 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Kolonje letnie w Zajezierzu pod Dęblinem.

WANDA WRÓBLEWSKA.

KŁOPOTY I TROSKI RODZICÓW

(Dokończenie).

W ciągu roku szkolnego rodzice co tydzień, czy co 2 tygodnie spłacają należny dług.

Nie obciąża to wielce rodziców, dołączając do wydatków szkolnych pieniądze na materjał robotowy i dobrowolne wkładki miesięczne na pomoce naukowe.

Oczywiście, kto może wydać odrazu pieniądze, to za gotówkę wszystko sobie kupi, lecz dla szeregu rzesz rodzicielskich podobny sposób, jaki od kilku lat u siebie w szkole przeprowadzam, jest wielkiem ułatwieniem i udogodnieniem.

Musi być tylko wzajemne zrozumienie: kierownika, wychowawcy, których obciąża się przez to szaloną pracą rachunkową w ciągu roku szkolnego, oraz rodziców, by z zaufaniem popierali szkolne kooperatywy i należycie bez szemrania i wyrzutów, bez przypomnień, zaciągnięte w szkole należności spłacali.

Jeśli te dwa czynniki nie będą się żalić, rozgoryczać, to nie widzę na razie lepszego wyjścia z kłopotów i trosk materjalnych, jakie z początkiem roku nasuwa szkoła.

Musi być w szkole sprężysta, wielce energiczna organizacja tych poczynań, musi być dobra wola kierownika i grona nauczycielskiego, a wielką pomoc wyświadcza się rodzicom i dobro dzieciom.

Cóż się bowiem dzieje w wielu szkołach, wśród szeregów dziecięcych: cały rok nie mają dzieci podręczników, pożyczają, o ile pracowite, od chętnego kolegi książki, inne, korzystają z braku podręczników, nie uczą się, nie odrabiają lekcyj i zrezygnacją, a czasem i z bezczelnością, oświadczają „nygusi" klasy: „nie umiem, nie nauczyłem się, bo mama książki nie kupi, niema za co, dobrze że na chleb starczy".

Nieraz szkoła dała tym nie mającym za co kupić, książki i wszystkie konieczne pomoce, lecz cóż się później okazuje?

Oto od dziecka przyzwyczaja się do otrzymywania wszystkiego za darmo, zatraca w sobie poczucie poczucie godności i ambicji, wytwarza się typ „zdrowego żebraka", czekającego jałmużny w dzieciństwie od szkoły, w starszych latach od społeczeństwa.

Nie wytworzy się z takiego ucznia samodzielnego typu, umiejącego wywalczać sobie przyszłość, lecz pasorzyta, oglądającego się zawsze na kogoś i po za siebie.

Najmniejsze grosze, ale niech rodzice wpłacają, niech szkoła z *wszystkiemi* ułatwieniami i pomocą przyjdzie rodzicom i dzieciom, ale nie obniżającą godności ludzkiej żebraczą, wymuszoną jałmużną.

Niech ci najbiedniejsi, co i ile mogą, za wszystko płacą, choćby grosze, ale niech ta dziecina wie, że nie z łaski, nie z jałmużny otrzymuje wszystko czy to ze szkoły, czy z Komisji Opiek Szkolnych.

Niszczmy żebractwo od dzieciństwa, a samorządy nie będą miały w przyszłości tylu trosk na zwalczanie obrzydliwego żebractwa, a policja tyle pracy z tępieniem symulacyjnych żebrackich band.

Nie przygotowujmy od podstaw życia społecznego, jakiem jest szkoła powszechna, inteligentnych rzesz żebraczych, lecz czynnych bojowników, umiejących wszelkie zapory zwalczać, stwarzając sobie i innym radosne a piękne życie.

Jeżeli w przyszłości państwo czy samorządy tak się wzbogacą, że będą mogły całkowicie bez różnicy pochodzenia i stanu materjalnego wszystkich uczniów szkół powszechnych zaopatrywać we wszystkie rozporządzalne pomoce, wówczas z rodziców spadnie owa „troska szkolna". Teraz jednak musi być ten wielki wysiłek ze strony szkoły przez oddawanie wielkiej pracy, przy tego rodzaju dostarczaniu pomocy naukowych, oraz ze strony rodziców, przez asygnowanie pieniędzy na spłatę ich — wówczas uczeń nie zmarnuje tak cennych lat spędzonych w szkole na bezczynnem „przymusowem" siedzeniu, — lecz da mu się możność ułatwienia pracy i zdobycia wiadomości, czego bez książek i należnych pomocy nie zdoła osiągnąć.

PAULINA TYTELMANOWA.

O REFORMĘ ZAPISÓW DO SZKÓŁ

Wobec zbliżającego się nowego roku szkolnego i zapisów nowowstępujących do szkół powszechnych, chcę się podzielić z czytelnikami naszego tygodnika „Świat, Dom i Szkoła“ mojemi obserwacjami co do sposobu, w jaki się ten zapis odbywa — i co do możliwości jego zreformowania.

Trzeba przyznać, że rodzice, na których ciąży obowiązek zapisania swojego dziecka do szkoły powszechnej, mają zadanie nielada! Dnia 28 sierpnia każdego roku, to jest pierwszego dnia zapisu do szkoły, już o godz. 2-ej po północy, tworzą się „ogonki“ przed gmachami szkolnemi. Rodzice wraz z dziećmi, wyrwanemi ze snu, tłoczą się do południa, lub dłużej niekiedy, aż woźny otwiera drzwi szkoły, aby wpuścić garstkę ludzi, gdyż jest fizyczną niemożliwością, żeby wszystkich jednocześnie wpuścić do szkoły. Wyobraźmy sobie ten zgiełk, ścisk, wzajemne ubliżania sobie, oraz te epitety, nie zawsze wykwintne, zarówno ze strony rodziców, jak i personelu szkolnego. Wiele przy tej procedurze jest zdenerwowania; ile szturchańców mimowolnych, a nieraz bolesnych, otrzymują Bogu ducha winne, dzieciaki, zrozumieć potrafi ten, kto choć raz to widowisko oglądał, albo sam brał w niem udział.

Istna gehenna! Pomimo tych tortur nie wszystkie przybyłe osoby zostają załatwione. Ci rodzice, co jednak szczęśliwie dotarli do upragnionej szkoły i zdołali dziecko zapisać, muszą jeszcze raz stać w ogonku, jeszcze dzień stracić i jeszcze raz dzieci na szwank narazić, aby dostać się do naznaczonego lekarza, który wydaje opinję, czy dane dziecko, ze względu na swój stan zdrowia i rozwój fizyczny, może uczęszczać do normalnej szkoły.

Zdarza się niejednokrotnie, że niezależnie od trudów i starań, pomimo wyczekiwania pode drzwiami szkolnemi i po stracie trzech dni pracy, wraca matka lub ojciec z dzieckiem do domu, chorzy z wyczerpania i zdenerwowania, a przecież nie zdołali zapisać swojego dziecka do tej szkoły, gdzie pragnęli, ażeby dziecko miało szkołę blisko domu.

Otóż myślę, że można procedurę zapisu uregulować w taki sposób, aby i rodzicom i kierownikom szkół, oraz dzieciom znacznie tę sprawę ułatwić. Sama zauważyłam, że w szkole powszechnej Nr. 18 wprowadzono pewną inowację. Kierowniczka tej szkoły, chcąc ulżyć chociaż tym malutkim ludziom, zarządziła, aby wszystkie dzieci, wyczekujące wraz z rodzicami w „ogonku“, wprowadzić do jednej z klas. Tam, jedna z nauczycielek usadowiła dzieci wygodnie na ławeczkach. Tym sposobem zaoszczędziła przynajmniej dzieciom zmęczenia i niepożądanych wstrząsów. Główna Rada Szkolna napewno zajmie się *niezwłocznie i energicznie* zreformowaniem tej bolączki szkolnej.

Chociaż jest zbyt trudno ująć całokształt tej sprawy, w ramach zwykłego artykułu, postaram się jednak naszkicować mniej więcej, jak sobie wyobrażam najważniejsze punkty:

1. Wywiesić na drzwiach szkolnych zawiadomienie o ilości wolnych miejsc, w danej szkole.

2. Pierwszego dnia zapisów wydawać kolejne numerki zgłaszającym się rodzicom *bez dzieci*, naznaczając czas przybycia z dzieckiem i natychmiast zwolnić każde z nich.

3. O naznaczonej porze, w jednej sali dzieci zajmują miejsca, rodzice zaś w drugiej sali i zostają wzywani w kolejnym porządku po 3, ewentualnie po 5 osób, do kancelarji.

4. Osoby powołane, czy to z ramienia opieki, czy nauczycielstwa, a najlepiej obie siły łącznie, wypełniają odnośne formularze i niezwłocznie odsyłają dzieci z ich opieką do sąsiedniej sali, gdzie zostają natychmiast zbadane przez lekarza — i sprawa jest definitywnie załatwiona!

Powiedziałam już wyżej, że podaję zaledwie luźny szkic reformy zapisu, który Główna Rada Szkolna zapewne zechce na posiedzeniu odpowiednio i dokładnie wycieniować. Przez wprowadzenie należytego systemu zapisu, zaoszczędzi się wiele zdrowia i czasu obywatelom.

H. ŻÓŁTOWSKA.

ZNACZENIE WYCHOWAWCZE OBOZÓW HARCERSKICH

Kto z nas w latach młodzieńczych nie myślał o życiu na zupełnej swobodzie, o możności zapuszczania się w knieje, o bezpośredniem współżyciu z przyrodą, kto nie chciał badać nieznanych ścieżek, tropić zwierza i podpatrywać go w kryjówkach?

A równocześnie, czyj duch nie wzlatywał ku ideałom miłości, równości braterstwa, kto nie dążył do tężyzny ducha?



Harcerki przed szałasem.

Wszystkie te porywy znalazły swój wyraz w harcerstwie. Ono potrafiło to życie z marzenia zrealizować, stwarzając obóz harcerski. Wielki las, góry, czy wybrzeże morskie stwarza cudowne otoczenie, nieskomplikowane ubranie nie wymaga wiecznego skrępowania i sztywności, a w całym dniu niema chwili szarej, wszystko jest niezwykłe i radosne. Bo przecież śpimy w namiotach, wokoło których nocą chodzi warta, myjemy się w rzece, płosząc uprzednio żaby, sami gotujemy potrawy o smaku i wyglądzie przedziwnym, zapalając ogień pod czterema kamieniami, a potem bujamy, gdzie oczy poniosą, naprawiamy, budujemy, tropimy, sygnalizujemy, a wszystko z piosenką na ustach, żartem, który nikogo nie boli. A gdy zachodzi słońce, siadamy wokoło płonącego ogniska i gawędzimy przy jego migotliwym blasku.

Gawędzimy, otwierając serca i unosząc duszę, nabierając spokoju gasnącego nieba i żaru ogniska.

Idziemy spać lepsi, bogatsi, i zdrowi.

Czy wszyscy wiedzą, że tak jest, że można tak spędzać czas, że można odpoczywać nie próżnując ani chwili?

Gdyby starsze i młode pokolenia zdawały sobie z tego sprawę, o ile mniej byłoby na świecie nudy i zniechęcenia. Jak bardzo pomagalibyśmy harcerstwu, aby wychować zastęp ludzi, umiejących wprowadzić w swe życie barwy słoneczne, tępiących zajadle szarzyznę.

Nietylko równowagi i pogody żąda od nas życie w obozie. W tej samej mierze musimy być zaradni, sprawni i karni.

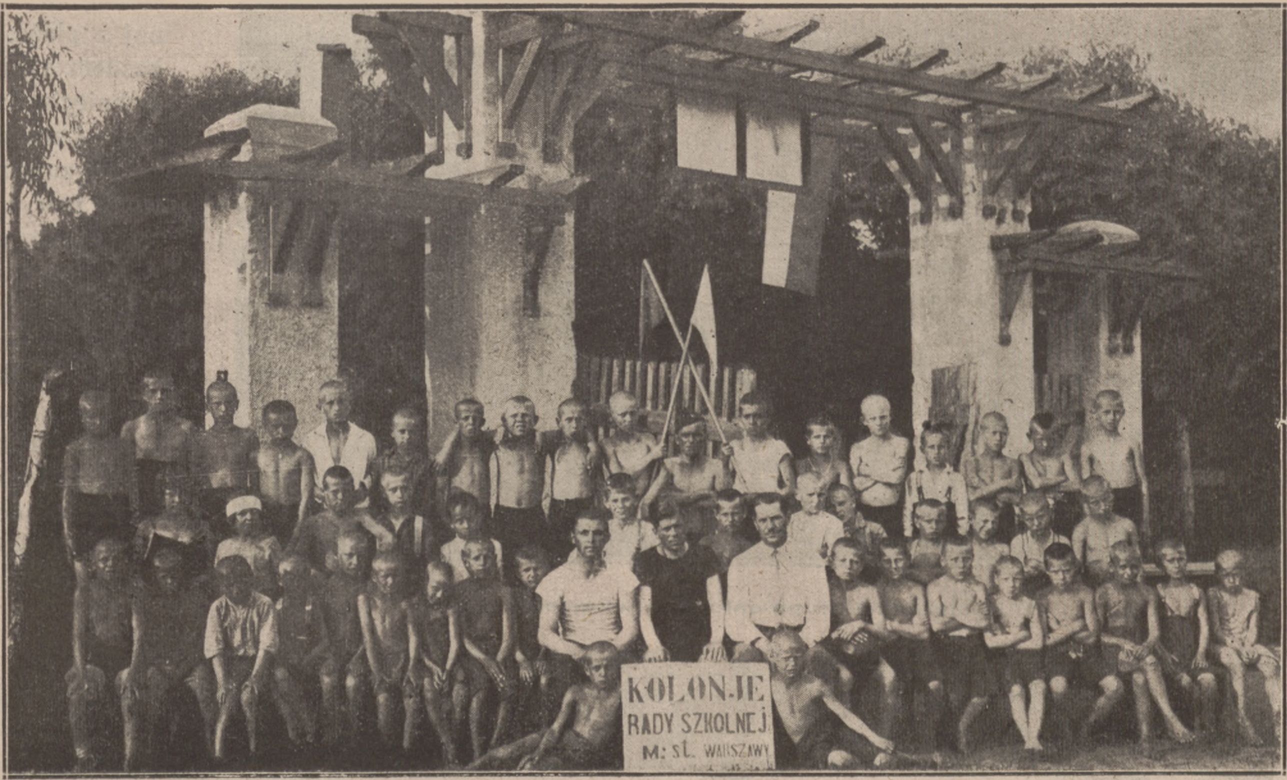
Trzeba naprawdę ugotować obiad nieraz niemal z „kołka bronowego“, trzeba zbudować namiot, zreperować most, trzeba się zorjentować natychmiast w każdej sytuacji. To nie jest zabawa w obóz, ale życie prawdziwe, urządzone możliwie wygodnie przy najskromniejszych środkach.

Zwalczamy ciągle drobne przeciwności, opanowujemy głód, sen, pragnienie, aby umieć walczyć ze wszystkiem, co się sprzeciwia radości życia. Gdybyśmy umieli patrzeć na nasze troski, jak na ćwiczenia harcerskie, kształtujące naszą duszę i ciało, ile ubyłoby rozpaczy i zniechęcenia! Pragniemy, aby dzieci nasze przeszły żwawym i dzielnym marszem przez życie, a jak mało czynimy w tym kierunku!

Na szczęście sfery rządowe i garść ludzi, stojąca na czele harcerstwa, często wbrew opinji rodziców, organizują rok rocznie obozy w całym kraju.

W roku 1927 było ich ogółem 482, w czem 326 męskich, w roku 1928 — 522 obozy, a w ciągu obecnych wakacyj miało ich być 590 obozów.

Korpus Ochrony Pogranicza przyjmuje naszą młodzież, dając im żywność, to też na Kresach Wschodnich zgromadziło się tego lata 121 obozów. Starsze dziewczęta i chłopcy prowadzą tam pracę społeczno-oświatową, zarówno wśród żołnierzy, jak i ludności cywilnej, niemało przyczyniając się do zbliżenia kulturalnego naszych mniejszości. A sami wywożą w duszy obraz wielkich i pięknych obszarów, czekających na ziarno prawdy i dobra.



Grupa chłopców z wychowawcą w Zajezierzu.

JÓZEF ZAORSKI, Kierownik Szk. Powsz. w Warszawie.

KOLONJE LETNIE W ZAJEZIERZU.

(Dokończenie).

W godzinach przedobiednich przeprowadzam wywiad z p. dyrektorem Ligaszewskim, dotyczący szczegółów organizacyjnych tej kolonji, otrzymuję następujące dane. Teren wyjednała od władz wojskowych p. posłanka Praussowa, baraki wyremontowano i wyekwipowano w niezbędny inwentarz kosztem Rady Szkolnej m. st. Warszawy, tak, że przedstawiają się one okazale i w zupełności przystosowane są do potrzeb dzieci. P. dyrektor podkreśla w tem miejscu wielką życzliwość i współdziałanie w pracy kolonijnej miejscowych władz wojskowych z p. płk. dypl. Sadowskim, dowódcą garnizonu, na czele.

Personel pedagogiczny w lipcu składa się z 3-ch kierowników, w czem 1 wychowania fizycznego, i 16 wychowawców, wykwalifikowanych nauczycieli szkół średnich i powszechnych.

Nadto na przebywającej tutaj kolonji robotniczej pracuje 1 kierownik i 3 instruktorów, oraz specjalny kierownik dla grupy dzieci, trudnych do prowadzenia.

Personel administracyjno-gospodarczy składa się z 25 osób, personel zdrowia — z lekarza i 3 sił pomocniczych. Z kolonji korzysta w tej chwili przeszło 500 wychowanków, którzy rekrutują się z różnych dzielnic Polski.

Dzieci podzielone są na grupy, liczące po 25 osób, według wieku i stanu zdrowia. Otrzymują ona 4-krotne wyżywienie obfite (obiad z 3-ch dań), mają zapewnioną pomoc lekarską i troskliwą, bezustanną opiekę. Zaznaczyć należy, że zasady higjeny praktycznej są ściśle przestrzegane, a więc: obowiązkowe płukanie gardła przez każde dziecko, utrzymanie ciała we wzorowej czystości za pomocą codziennego my-

cia się zwykłego, oraz
nej z plażą. Naczyn
każdem posiłku stery
słabnięcia dziecka, je
wane i znajduje się
chwili zupełnego pow
dać z powyższego wy
swe dzieci na takie
spokojni, że nie dzieje
da; ja, natomiast, że
jak najrychlej byli w
dzieciom takie waru
na kolonji letniej.
dzimy obaj na boiska
dziecięcym. Szukam
czających do szkoły
jednego z nich; jest
ligentnych. Podchod



Zajezierze: Grupa chłopców w kąpieli.



Zajezierze: Akademja ku czci ś. p. majora Idzikowskiego.



Zajezierze: Grupa chłopców w kąpieli.

je na kolonji i czy
piec odpowiada temi
ka dni tęskniłem, ale
że się już przyzwycza
dżać". Pytam inneg
i otrzymuję taką od
nie pragnę, tylko aby
cze i na drugi miesiąc

Takie są więc „o
uczestników.

Niebawem zosta
po spożyciu którego
nowych terenów, prze
nia, kiedy to w Zaje
dzieci płci obojga.

Stwierdzamy z
dość i że nowy teren
godniejszy, trzeba ty

...kąpieli rzecznej, połączo-
... stołowe podlegają po
...zacji. W wypadku za-
...ono natychmiast izolo-
... opieką lekarską, aż do
...tu do zdrowia. Jak wi-
...adu, rodzice, wysyłający
...onje, mogą być zupełnie
...n się najmniejsza krzyw-
...ej strony życzę im, aby
...ożności zapewnić swym
... życia, jakie mają one
...czymy wywiad i wycho-
...ozbrzmiewające gwarem
...okiem chłopców, uczęsz-
...szej, wreszcie odnajduję
... jedynak rodziców inte-
...doń i pytam, jak się czu-



Zajezierze: Grupa chłopców w kąpieli.



Zajezierze: Zabawy i gry ruchowe.

...kni za mamusią. Chło-
...wy: „Przez pierwsze kil-
...utaj tak mi jest dobrze,
...m i żal mi będzie odjeż-
... starszego o to samo
...wiedź: „Niczego innego
...ostać na kolonjach jesz-

...je" o kolonji małych jej

...ny zaproszeni na obiad,
...ajemy się na lustrację
...czonych na okres sierp-
...rzu ma być około 1.500

...ością, że miejsca jest
...zie jeszcze lepszy i wy-
... przeprowadzić jeneral-

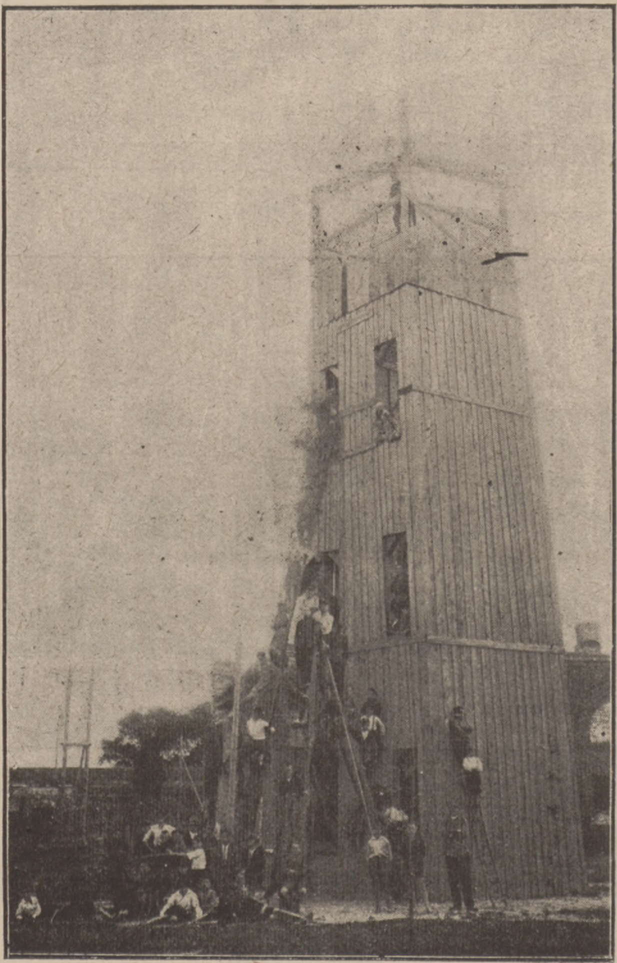


Zajezierze: Grupa chłopców na plaży.

ne uporządkowanie i dokonać niezbędnych inwestycyj. Dyrektor kolonji wraz z kierownikiem notują więc, co należy zrobić, aby było czysto i wygodnie. Od jutra rana nastąpić ma mobilizacja sił roboczych i praca bez wytchnienia, aby wszystko było wykończone na czas.

Zbliża się wieczór, a z nim chwila pożegnania się z tem pięknem środowiskiem radosnej, twórczej pracy.

Zajezierze, w lipcu 1929 r.



Zajezierze: Kurs przeszkolenia Straży Ogniowej.

Sierpień w Zajezierzu.

Dnia 31 lipca o godz. 9-ej wiecz. przyjechała pierwsza partja dzieci płci obojga, w liczbie około 250. Na stacji, na przybycie dzieci oczekiwała dyrekcja wraz z personelem (kierownicy punktów i wychowawcy). Do przewiezienia dzieci przygotowane były dwa samochody. Dzieci na miejscu były o godzinie 10-ej wiecz., gdzie po podzieleniu na grupy i zjedzeniu kolacji, udały się na spoczynek. Następnego dnia, 1 sierpnia, o godzinie 9-ej wiecz. przyjechała druga partja w tej samej mniej więcej liczbie, co poprzednia. Przebieg wieczoru taki sam, jak poprzedniego. Ostatnia partja, w liczbie 65, przyjechała specjalnym pociągiem o godzinie 5-ej pop. Dzieci, po zabraniu im bagażu na przygotowane w tym celu samochody, przemaszerowały we wzorowym porządku pod kierunkiem wychowawców do odległych o kilometr baraków, gdzie stanęły o godzinie 6-ej pop. Tam, po podzieleniu na grupy, narazie według wzrostu, i zjedzeniu obiadu, wcześnie udały się na spoczynek. W międzyczasie, pomiędzy przyjazdem jednej partji, a drugiej odbywały się badania lekarskie i racjonalniejszy (według wieku i stanu zdrowia) podział na grupy. Dzieci czują się dobrze, to też po rozdaniu przyborów do gier, ochoczo zabrały się do zabawy.

Materjał, według opinji lekarza, zdrów, zdrowszy, niż w poprzednim miesiącu.

Dopiero sierpień ze swoim tysiącem kilkuset dzieciaków, już opalonych i dokazujących, daje odczuć w pełni pożytek kolonji.

Rozległy teren baraków obozu Traugutta w Zajezierzu stał się zaludnionym i robi wrażenie miasta dzieci. Trzy olbrzymie, na 500 dzieci obliczone, jadalnie szybko napełniają się młodym ludkiem; po obfitym posiłku rannym — wymarsz na plażę, do kąpieli lub na dalszą wycieczkę, by na czas wrócić na obiad, wypoczynek poobiedni i podwieczorek, po którym gry i zabawy na wolnem powietrzu i kolacja składają się na całość, dającą już w pierwszym dziesiątku dni pobytu wynik 2 do 3 kg. przybytku na wadze. Swoboda, beztroska widnieje na twarzach małoletnich, chwilowych mieszkańców obozu — nakarmieni dosyta, zatracają — charakterystyczny dla dziecka półgłodnego i pozbawionego świeżego powietrza — wyraz niezadowolenia, nudy lub zniechęcenia, stają się dziećmi, wesołemi dziećmi, z ich tysiącem psikusów, a przestają być zgryźliwemi, niezdatnemi, zwichniętemi życiowo istotami.

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

— Wcale nie mam zamiaru zakładać rodziny — powiedział wreszcie, chociaż sam się sobie wydał śmieszny, że używa takich słów, i że funkcja, która w gruncie rzeczy nadzwyczaj była prosta, może się tak patetycznie nazywać.

— Głupiś — powiedziała matka, która już odzyskała tereny przez chwilę stracone — jesteś głupi i podły, jeżeli myślisz, że wszystko może tak samo trwać dalej, i że mnie się nigdy nie sprzykrzy takie życie.

Wiedział dobrze, że właśnie takie życie jej się nie sprzykrzy i że to wszystko mówi tylko w imię tak zwanego obowiązku, a może też despotycznej chęci patrzenia na uległość. Wtedy dodała:

— Mogłam i ja także włożyć mantillę i tańczyć el gato [1]), zamiast tu na ciebie harować i użerać się z pastuchami.

Sebastjan wyobraził sobie matkę, tańczącą el gato i roześmiał się, tak to było do niej podobne.

— Jesteś za stara — powiedział, obejmując ją.

Na jej ustach pojawił się na krótką chwilkę uśmiech młodości, tak olśniewająco uroczy, że Sebastjan zadrżał.

— No tak, masz rację, kiedy byłam młoda, — powiedziała, a uśmiech pobył i poleciał, żeby nie wrócić, jak ptak.

Sebastjan zrozumiał prędko, jak był niesprawiedliwy, i w tem, że pozwalał matce obsługiwać się, jakby był dziewczyną, i w innych rzeczach, w których z męską niewyrozumiałością wyzyskiwał konjunktury, chcąc matkę zawstydzić jej kiedyś lekkomyślną młodością.

— Jesteś dobrą matką — powiedział — chciałbym z tobą pomówić o interesach.

— Wszystko jest twoje — powiedziała prędko — ja będę tylko przy was mieszkać.

Sebastjan ze zniechęceniem poszedł do swojego pokoju. W najlepszym razie tak się kończyły poważne z matką rozmowy o interesach.

[1]) Taniec argentyński.

Dzięki Bogu, wszystko już było omówione, dzisiaj w nocy miał opuścić estancję. Tak to jakoś wypadło na jeden raz: i tajemne przygotowania do podróży i rozmowa z matką, w której spóźnił się z inicjatywą, aż całe gadanie poszło zupełnie inaczej, niżby się spodziewał i niżby chciał. Zaczęła ona, skończyła ona, a on, jej syn, nie mógł się nawet dogadać do tego, o co mu najwięcej chodziło. Widać było i tak, że będzie uparta, jak muł. I Sebastjan przypomniał sobie piosenkę, śpiewaną przez gauczów przy ogniskach:

Kobiety tak są uparte,
jak w drodze muły,
nie mówię tego o wszystkich,
lecz o niektórych...

Ona właśnie należała do tych niektórych. Dzięki Bogu, stary dziadyga, który, powożąc czterema wołami, chciał na coche [1]) przewieźć swoje stare kości na granicę Misiones, wyruszał o świcie w drogę, a teraz wysypiał się na zapas w starej szopie. Matka dała mu mleka i tamalów, nie myślała wcale, że uwiezie jej syna.

Cóż było zabrać z tego starego domu? Pieniędzy, gdyby można — pomyślał Sebastjan bez żadnego sentymentu, ale wszystko, co posiadał, razem z tak wspaniałomyślnie ostatnio mu ofiarowanemi stoma pesos, było to trzysta czterdzieści trzy sztuki tej monetarnej jednostki w papierach, nazbierane różnemi czasy i skrzętnie chowane dla niewiadomo jakich, niedostępnych w żaden sposób przyjemności. Czy się tu kiedy wróci? To już zupełnie nie było wiadomo. I Sebastjan pomyślał nagle, jakby właśnie zaszła potrzeba patosu, przed czem się tak długo i tak wytrwale bronił: „Tu jest mój dom, gdzie jest moje królestwo". Tu rządziła, tu zmieniała, tu kształtowała wszystko podług swojego widzimisię matka: tu był jej dom i jej ojczyzna. A potem pomyślał, gdzież to on właściwie rządzi? I odpowiedział sobie głupio i śmiesznie, że do-

[1]) Rodzaj wozu.

tychczas tylko na tych kilkunastu kartkach, w oprawie z cielęcej skórki, które pojechały do Corrientes. I tak z tego wyszło, że ta książka była jego istotnym domem.

II.

Buda była wielka, jak arka Noego, pokryta płótnem nieprzemakalnem na beczkowatych obręczach, dwa olbrzymiej naprawdę wielkości koła flankowały jej wypukłe boki skrzypiąc przeraźliwie podczas jazdy. Sebastjan zapowiedział już matce, że nudno mu tak bardzo w domu iż odwiezie starca do najbliższej osady i wróci za kilka dni dopiero. Układał też sobie chytrze, że wyjeżdżając konno, będzie mógł następnie sprzedać konia i otrzymane pieniądze dołączyć do swojego skarbu.

Starzec wcale się nie spieszył z wyjazdem, dobrze mu było wyciągnąć kości na sianie w szopie u Dolores, tegoż dopiero koło południa zaczął się zbierać w drogę. Dolores nie miała jakoś tego dnia nic do roboty i stała w drzwiach, rozmawiając z nimi dwoma, jakgdyby coś przeczuwała. Sebastjan z wieczora już umieścił swój tobołek między rzeczami chłopa, a teraz stał koło matki, już w kapeluszu z wielkiemi kresami na oczach w czerwonej chustce, związanej koło szyi i w cienkiem, pięknie tkanem poncho.

— Znałem twojego męża — powiedział starzec, ściągając rzemieniami toboły — niezły był człowiek. I dawno to, jak sama zostałaś?

Dolores podniosła do oczu palce jednej ręki, przekładając je ciemnemi, choć cienkiemi palcami drugiej, ale widać nie mogła się doliczyć, bo roześmiała się i strzepnęła rękami.

— Co tu gadać! Dawno, i mój syn wcale chyba nie pamięta ojca.

— Dzielna baba z ciebie, że tak sobie radę dajesz, i syna dużego wychowałaś. A zamąż drugi raz — nie ciągnęło cię?

Sebastjan, słuchając tej rozmowy, gładził machinalnie jedwabną powierzchnię wielkiego kaktusa. Nie chciało mu się brać udziału w tej rozmowie, ni stąd ni zowąd owładnęło nim takie lenistwo, że gdyby dla ocalenia swego życia kazał mu kto teraz wskoczyć na konia, nie mógłby tego zrobić. Słońce było gdzieś za obłokami, tak, że wiedziało się o jego obecności, ale nie można się było wcale zorjentować, w której stronie nieba się znajduje: perłowy, ostry blask ciekł przez cienkie obłoki wszystkiemi porami, nijak się było od niego schronić, aż oczy bolały. Zdawało się, że ten blask przeniknie nawet przez zamknięte powieki, i będzie razić źrenice, jak ukropem. Wysoki kaktus, którego obłe ramiona sunęły ze wszystkich stron po dachu, gładki był, jak chłodne masło, tylko po bokach jeżył się ostremi, cienkiemi kolcami. Kiedy mu się było przyjrzeć, to widać było na wewnętrznej i zewnętrznej stronie każdej spłaszczonej odnogi równomiernie rozsiane, białawe punkty, jak krosty, i Sebastjan wiedział, że tu wszędzie powyrastają nowe kolce z wiosną.

(D. c. n.).

ZOFJA GULIŃSKA.

CO SŁYCHAĆ W ZAGRANICZNYM BYTOMIU

Bytom — cóż może być ciekawego w Bytomiu? Dziura to zapewne, a w dodatku, cóż to za zagranica, skoro leży o niecałą godzinę drogi od Katowic po tamtej stronie, na „niemieckim“ Górnym Śląsku? Tak się spytają z pewnością ci, co przeczytają mało zachęcający tytuł korespondencji. Ale chociaż to tylko Bytom, znajdzie w nim uważny jak i nieuważny podróżnik niejedną rzecz ciekawą, ważną, smutne budzącą refleksje lub wzruszającą serce Polaka.

Jeśli szukasz wrażeń zagranicznych, zważ, że Niemcy nazywają Bytom: Beuthen, i dla niektórych cech podobieństwa ze stolicą państwa niemieckiego, określają go: „Klein-Berlin“, czyli Małym Berlinem. Bytom więc widocznie zdolen jest dać wrażenia zagraniczne Polakowi. I tak

też jest w rzeczywistości. Bytom, to „nie bardzo podłe miasto“. Ma przedewszystkiem ok. 100.000 mieszkańców. Pozatem leży na Górnym Śląsku, w centrum wielkiego przemysłu górniczo-hutniczego, sąsiadując z szeregiem podobnych do siebie miast jak Gliwice, Zabrze (Hindenburg) i inne. Ruch więc jest tam zgoła nie małomiasteczkowy, a „europejski“. Samochody śmigają niezgorzej jak po bocznych ulicach Warszawy, raz po raz dudnią przez ulice wielkie autobusy, jakieś żółto-szaro-zielone, rozwożące publiczność po okolicznych miastach i osiedlach, włączając w to i miejscowości po stronie polskiej; z głośnym zgrzytem i ponurym sykiem suną w górę ulic (miasto leży na falistym gruncie) po nieprawdopodobnie wąskich, jednotorowych szynach ciężkie, opancerzone zda się, wozy tramwajowe zgniło-żółtego koloru o szczelnie zamkniętych drzwiach, wąskich wysokich schodach, z przedziałami 2 i 3 klasy, kursujące również jak autobusy na dalszych przestrzeniach. Ludzie roją się na chodnikach, zwłaszcza w godzinach pobiurowych, tak że się nieraz trudno posuwać naprzód przez wąskie przeważnie ulice śródmieścia, zbiegające się w wydłużonym i bezkształtnym placu: Kaiser Franz Joseph Platz, nad którym góruje, umieszczony na całej szerokości fasady wielkiego domu w stylu berlińskim olbrzymi szyld: Café Hindenburg. Domy są porządne i przypominają w wyrazie swym, lecz nie w wielkości — Berlin. Ale przedewszystkiem sklepy, proszę państwa! Sklepy i wystawy. O, tu mamy Europę? Europę zachodnią z całą jej materjalną kulturą, z całą kupiecko-handlową psychologją, z całą umiejętnością budzenia w człowieku najwięcej nawet od „zjadacza chleba“ oddalonego, namiętność, ba, żądzę niezdrową: *kupowania*. Wystawy są pełne wszelakich, potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy po tak zda się bajecznie niskich cenach, że o jakiejkolwiek rzeczy kiedyś człowiek przelotnie zamarzył — tu, w Bytomiu, odczuwa nagle nieodpartą potrzebę sprawienia jej sobie natychmiast. Ciągle jest jakaś wyprzedaż: to „Total-Ausverkauf“, to „Inventur-Ausverkauf“, to „Ostern-Preise“ (ceny wielkanocne), to „biały tydzień“ na bieliznę, to znów „Weihnachts-Preise“ (ceny bożonarodzeniowe), słowem, stale nadzwyczajne okazje do nabycia „niebywale tanio“ tego, bez czego się naraz jakoby nie można obejść. Pozatem istnieje typ sklepów, gdzie każda sztuka towaru kosztuje tylko 25 lub 50 fenigów. Jak to tanio! Przecież to grosze! A gdy człowiecze wyjedziesz z takiej jaskini taniości, to jesteś obarczony róż-



Górnoślązacy z okolic Bytomia.

nemi przedmiotami, które ci „się przydadzą“, ale zato portmonetka jest już nie o fenigi, ale o całe marki lżejsza. Umiejętność kuszenia publiczności do kupowania za pomocą wystawionych na pokaz towarów z kombinowanemi sprytnie cenami i dopiskami zachęcającymi w rodzaju: „niezwykle korzystna okazja“, lub „tanio, lecz w dobrym gatunku i t. d. — jest rzeczywiście wielka. To też, kto żyw na ulicy, wlepia oczy w okna wystawowe, upaja się ich widokiem, podnieca się myślą: a może to sobie kupić, a może tamto... Wieśniacy, przybywszy specjalnie ze wsi na zakupy, chodzą w zamyśleniu od sklepu do sklepu, porównując i zastanawiając gdzie lepiej, gdzie taniej.

(D. n.).

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Letni Turniej Zadaniowy.

8. REBUS.

(za rozwiązanie 3 p.)



Jan Stratilato.

9. SZARADA.

(za rozwiązanie 2 p.).

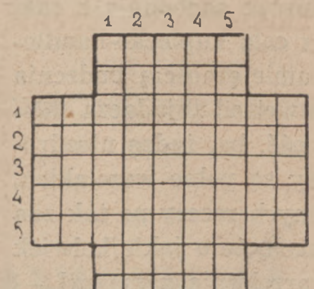
Pierwsza—druga różną bywa,
Jedni na niej ciągle skaczą
Dla tych *trzy—sześć* litościwa —
— Drudzy zwą padołem płaczu...
Ma też różne *drugie—szóste:*
Raz to Matka—raz macocha,
Trzy—cztery nazwy prawdziwe
Gdyż nie wszystkich pieści, kocha...
Trzy—cztery—pięć—sześć, nagroda
Dla tych wszystkich, którzy cierpią,
Którym *raz—dwa* jest macochą,
Którzy z darów jej nie czerpią! —
Ale gdzie jest owa *cała??* —
— Jest mirażem, czy legendą?
. . . Z różnych krańców, w krańce świata
Do niej dążą — dążyć będą! —

Stanisława Millerowa.

Warunki uczestniczenia *w Letnim Turnieju Zadaniowym* zostały podane w 26 numerze tygodnika. Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dn. 8 września 1929 r. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem: *Redakcia tyg. „Świat Dom i Szkoła“ Warszawa Hipoteczna 5 „Rozrywki Umysłowe“.*

10. KRZYŻ MAGICZNY

(za rozwiązanie 3 p.).



Znaczenie wyrazów:

1. Mały samolot. 2. Imię męskie. 3. Jak najmniejszy. 4. Wrogie uczucie. 5. Człowiek wierzący w przeznaczenie.

Franciszek Staszak.

Odpowiedzi:

(8) P. Stanisława Millerowa—Łęczno. Dziękujemy. Umieścimy wszystko.

(9) P. Józef Stef—Warszawa—Nie nadaje się.

(10) P. Leon F. — Ostróg n/Horyniem — Palindrom stary jak świat. Prosimy o inne.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.